Nr. 2 | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, luty 1926 | Rok XLVII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI W lutym nie wolno polować na jelenie, zające, jarząbki, bażanty i kuropatwy.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 1½ zł. -- Cena pojedynczego numeru 60 gr. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, ½ str. 50 zł ¼ str. 30 zł, ⅛ str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiej Spółki Myśliwskiej ul. Lindego 9, w godz. 12—1. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Pamiętajmy o ofiarach na ołtarz św. Huberta!

PAMIĘTAJMY O OFIARACH NA OŁTARZ ŚW. HUBERTA!

Losy po 10 zł na dochód budowy ołtarza do nabycia w biurze Tow. i w sklepie Małopolskiej Spółki Myśliwskiej.

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

Tak samo przekazał II-gi Zjazd łowiecki Wydziałowi Towarzystwa do rozpatrzenia i właściwego załatwienia:

a) rezolucję inż. L. Krobickiego z dodatkiem prof. dr. Siemiradzkiego w sprawie utworzenia Związku Towarzystw myśliwskich w kraju wzorem związku gniazd sokolich — z przynależnością do gal. Towarzystwa łowieckiego we Lwowie jako macierzy, w charakterze członków;

b) rezolucję wiceprezesa Tow. Czarkowskiego-Golejewskiego, by celem zainteresowania szerszego ogółu łowców zachodniej części kraju, następny Zjazd łowiecki zwołać do Krakowa.

Obrady swe zakończył II-gi Zjazd łowiecki hołdem oddanym największemu genjuszowi polskiemu, którego setna rocznica (1798—1898) urodzin przypadała właśnie w owym roku. Uchwalono numer grudniowy „Łowca“ poświęcić pamięci wieszcza oraz przeznaczyć datek na budowę pomnika ku czci jego we Lwowie.

Po południu tegoż dnia odbyło się popisowe strzelanie członków Zjazdu o nagrody, przy znacznie większej liczbie uczestników tej pięknej zabawy, niż w roku poprzednim.

Poczet członków Towarzystwa w 1898 roku wzrósł do liczby 980. Delegaci coraz gorliwiej poczynają spełniać swoje obowiązki, o czem świadczą liczne ich sprawozdania, drukowane w „Łowcu“. Stosunki łowieckie w całym kraju znacznie się poprawiają. Wraz z polepszeniem się stanu funduszów Towarzystwa wzrasta też i błoga nadzieja i wiara w możliwość ustalenia mu samoistnego bytu.

Wydział wciąż czyni starania, aby świat łowiecki w należeniu do Towarzystwa coraz więcej upatrywał interesu, aby zrozumiał, że zawsze znajdzie w tej instytucji opiekuna, doradcę i rzecznika w obronie łowiectwa wobec władz administracyjnych i sądowych.

Gdy wraz z przybywaniem członków liczne też poczęły napływać ich korespondencje oraz artykuły, dotyczące zwłaszcza kwestji wadliwości nowej ustawy łowieckiej, których ogłaszanie ze względu na aktualność sprawy nie mogło ulegać zwłoce — Wydział Towarzystwa uchwalił wydawać „Łowca“ od 1. stycznia 1899 r. dwa razy na miesiąc.

W ten sposób szeroko otwarte zostały drzwi tego czasopisma oraz przygotowane w niem miejsce dla raźniejszego ogłaszania sprawozdań delegatów, korespondencji członków i aktualnych spraw bieżących.

Uchwalono zarazem wprowadzić w wydawnictwie organu Tow. pewne ulepszenia rzeczowe i techniczne. Między innemi postanowiono drukować „Łowca“ na lepszym papierze i zmienić jego winietę tytułową.

Podkreślić trzeba, że mimo znacznego powiększenia kosztów, z ulepszeniem i rozszerzeniem łam „Łowca“ połączonych, wkładek członków — 5 zł rocznie — nie podniesiono.

Ta gorliwa dbałość o rozwój łowiectwa, ta czujna nad niem opieka Towarzystwa zachęca luzem dotychczas jeszcze polujących myśliwych do zawiązywania towarzystw, kółek lub spółek myśliwskich, opartych na przepisach statutu. Niewiele jednak z tych zrzeszeń umiało według ustawowych wymogów prawidłowo statut taki ułożyć i z tej racji dotycząca władza administracyjna nie mogła go zatwierdzić, co spowodowywało niepożądaną zwłokę w urzeczywistnieniu dobrego zamiaru.

Aby temu skutecznie zaradzić, Wydział Towarzystwa, pragnąc pospieszyć z pomocą swym członkom, opracował zarys danego statutu i wydrukował go w „Łowcu“.

Ze względu, że zrzeszenia łowców, rządzące się przepisami statutu, ukrócają w znacznej mierze dziki sposób polowania jednostek i grup bezwyznaniowych, niemniej też z powodu, że i obecnie powstające nowe zrzeszenia myśliwych zwracają się często do Wydziału M. T. Ł. o udzielenie im informacji w tej sprawie, wyłania się potrzeba wznowienia tu tych do dziś dnia obowiązujących przepisów.

STATUT

Towarzystwa mysliwskiego imienia . . . . w . . . .

I. Nazwa, siedziba i cel Towarzystwa.

§ 1. Towarzystwo ma nazwę . . . . w . . . .

§ 2. Siedzibą Towarzystwa jest . . . .

§ 3. Celem i zadaniem Towarzystwa jest pielęgnowanie wspólnemi siłami prawidłowego myślistwa, czuwanie nad przestrzeganiem ustaw łowieckich, zapobieganie kłusownictwu, podniesiesie i pielęgnowanie zwierzostanu na obszarach, zadzierżawionych przez Towarzystwo,

II. Członkowie, ich prawa i obowiązki.

§ 4. Członkiem Towarzystwą może zostać każdy myśliwy, zamieszkały w ... lub najbliższej okolicy, który używa praw obywatelskich w kraju, jest nieposzlakowanej czci, a jeżeli pragnie brać udział w polowaniach, ma wprawę w obchodzeniu się z bronią myśliwską i obznajomiony jest praktycznie z zasadami łowieckiemi.

§ 5. Członek ma prawo:

a) brać udział w polowaniach gremialnych jeżeli posiada warunki w § 4. al. 1. wymienione.

b) polować pojedynczo na obszarach, wyznaczonych na ten cel przez Wydział.

e) ma prawo do zwierzyny przez siebie zabitej (za opłatą taksy przez Wydział oznaczonej.

d) ma prawo zaprosić jednego gościa na polowanie zbiorowe, o czem jednak należy wcześnie Wydział zawiadomić.

c) ma prawo brania udziału w walnem zgromadzeniu a mianowicie prawo zabierania głosu, czynienia wniosków, głosowania, wyboru i obieralności, a to zarówno osobiście jak i przez pełnomocnika z grona członków Towarzystwa, pisemnie do tego upoważnionego.

§ 6. Członek jest obowiązany:

A) uiszczać:

a) wpisowe przy wstąpieniu w kwocie ...

b) wkładki (miesięczne, roczne lub udziały wynikające z repartycyi kosztów etc.)

B) wypełniać bezwzględnie przepisy statutów i regulaminów, tudzież wszelkie uchwały Walnego Zgromadzenia i zarządzenia Wydziału — wkońcu

C) jak najsilniej popierać cele Towarzystwa.

§ 7. Każdemu członkowi wolno jest wystąpić, jednak nie przed upływem roku, licząc od dnia przystąpienia do Towarzystwa. Wystąpienie wcześniejsze nastąpić może w wypadku zmiany stałej siedziby i przeniesienia do innego powiatu. Za występującego będzie uważany ten z członków, który wypisania zażąda lub nie zapłaci w oznaczonym terminie przypadających na niego wkładek i należytości.

§ 8. Walne Zgromadzenie ma prawo na wniosek Wydziału lub na żądanie jednej czwartej części członków należących do Towarzystwa, wykluczyć członka z Towarzystwa. Stać się to może za niedopełnienie obowiązków lub nadużycia praw członka, za niestosowanie się do uchwał Zgromadzenia i zarządzeń wydziału, z powodu utraty czci, wreszcie z powodu czynu, przynoszącego ujmę dobru lub powadze Towarzystwa.

Wydział jest obowiązany zasuspendować członka, który zdaniem jego zasłużył na wykluczenie, zawiadomić go o tem pisemnie i zwołać do dni 14 Walne Zgromadzenie, na którem sprawę wykluczenia ma przedłożyć.

III. Majątek Towarzystwa.

§ 9. Majątek Towarzystwa składa się z funduszu rezerwowego, który składa się z kaucji, składanych za dzierżawy prawa polowań, z wpisowego i z funduszu obrotowego, składającego się z wkładek i inynch bieżących wpływów. Fundusz obrotowy służy do pokrycia wszelkich wydatków administracyjnych, bieżących.

IV. Zarząd Towarzystwa.

§ 10. Sprawami Towarzystwa zarządza:

a) Walne Zgromadzenie,

b) Wydział.

a) Walne Zgromadzenie.

§ 11. Zwyczajne Walne Zgromadzenie zwołuje Wydział raz do roku, w miesiącu .... Prócz tego może być zwołane nadzwyczajne zgromadzenie w razie potrzeby lub w razie żądania połowy członków Towarzystwa, w .... zamieszkałych.

§ 12. Do zakresu czynności Walnego Zgromadzenia należy:

a) wybór prezesa, jego zastępcy, sekretarza i skarbnika na rok jeden,

b) zmiana statutu,

c) postanowienia co do wysokości wkładek i wpisowego,

d) orzekanie w sprawie wykluczenia członka,

e) dyskusya nad wnioskami członków — wkońcu

f) sprawa rozwiązania Towarzystwa.

Do ważności uchwał Walnego Zgromadzenia potrzebną jest obecność połowy (trzech czwartych) członków Towarzystwa.

Gdyby zwołane zgromadzenie nie zebrało się w wymaganym komplecie, w takim razie ponownie zwołane zgromadzenie może powziąć prawomocną uchwałę bez względu na liczbę obecnych członków. Uchwały Walnego Zgromadzenia zapadają zwykle większością głosów. Do uchwalenia rozwiązania Towarzystwa potrzeba większości trzech czwartych głosów obecnych członków.

b) Wydział Towarzystwa.

§ 13. Wydział Towarzystwa składa się z prezesa, jego zastępcy, sekretarza i skarbnika, którzy zarazem stanowią Biuro Towarzystwa.

§ 14. Wydział reprezentuje Towarzystwo na zewnątrz, zarządza bieżącemi sprawami i funduszami Towarzystwa wogóle, przedstawia Walnemu Zgromadzeniu kandydatów na członków, wnosi sprawę wykluczenia członka, wydaje regulamin dla członków Towarzystwa, ustanawia w nim grzywny za uchybienia regulaminowe, załatwia życzenia i zażalenia członków, rozstrzyga w sprawach o dzierżawy, zwołuje Walne Zgromadzenie, zdaje sprawę z czynności, przedkłada Walnemu Zgromadzeniu rachunki z funduszów Towarzystwa, czuwa nad wykonaniem uchwał Walnego Zgromadzenia i swoich zarządzeń, spisuje protokół swoich posiedzeń i obrad Walnego Zgromadzenia.

§ 15. Posiedzenia Wydziału odbywają się, ilekroć zachodzi ich potrzeba, lub na wezwanie prezesa, względnie jego zastępcy. Do ważności uchwał Wydziału potrzebna jest obecność przynajmniej trzech członków. Uchwały zapadają zwykłą większością głosów — w razie potrzeby rozstrzyga przewodniczący.

V. O rozstrzyganiu sporów.

§ 16. Spory między członkami Towarzystwa rozstrzyga sąd polubowny, złożony z dwóch sędziów, z grona członków Towarzystwa przez strony wybranych, którzy wybierają sobie rozjemcę. Gdy strona w oznaczonym terminie nie wybrała sobie sędziego, mianuje go Wydział. Między dwoma kandydatami na rozjemcę, rozstrzyga los. Od orzeczenia sądu polubownego niema odwołania. Czynność sędziego jest obowiązkiem, od którego uchylić się nie można.

VI. O rozwiązaniu Towarzystwa.

§ 17. [O rozwiązaniu Towarzystwa postanawia Walne Zgromadzenie jak § 12. W razie rozwiązania Towarzystwa majątek jego, o ile nie są nim koncesje na dzierżawę polowań złożone, przechodzi na . . .

VII. Postanowienia ogólne.

§ 18. Statut ten stwierdza przystępujący członek własnoręcznym podpisem i tem samem przyjmuje na siebie zobowiązania tym statutem objęte.

* * *

Literatura łowiecka ciężką w tym czasie ponosi klęskę. Śmierć — w wykonywaniu wyroków zatraty życia zawsze bezwzględna — zabiera z grona pisarzy rzeczy myśliwskich trzech najwybitniejszych. Umiera Józef Łoziński, kustorz bibljoteki poturzyckiej, który jako pierwszy redaktor „Łowca“ niespożyte około rozwoju tego wydawnictwa położył zasługi. On to przez lat dziesięć odtwarzał czarowne obrazy przeszłości polskiego myślistwa oraz duży szereg doskonałych napisał artykułów z dziedziny przyrody i łowiectwa. Umiera Andrzej hr. Fredro, z Bieńkowej Wiszni, autor licznych poetyckich utworów myśliwskich, pięknym pisanych wierszem — drukowanych w „Łowcu“. Wkońcu orle wytrąca śmierć pióro z ręki Własdyława Spausty, najbystrzejszego po Kazimierzu z Granowa Wodzickim badacza w podpatrywaniu i wprost niezrównanem obrazowaniu życia fauny ziem polskiego podniebia.

Toteż w żalu głębokim żałoby kirem osłania się sztandar łowiecki po zgonie mężów, których imię nierozdzielnem się stało z historją naszego Towarzystwa i wieczystą będzie chlubą jej kronik.

„Łowiec“ w onej dobie wyczerpująco omawia świeżo wyszłą z pod prasy drukarskiej (1897) książkę: „Notatki z Afryki“, pióra Józefa hr. Potockiego.

Nowe to dzieło znanego już zaszczytnie w polskiej literaturze myśliwskiej autora z poprzednio wydanych notatek z Indji i Cejlonu, zainteresowało cały świat łowiecki, budząc zachwyt tak treścią wielce zajmującą, jak też i sposobem opowiadania swobodnym, a potoczystym, oraz wspaniałością rycin artysty-malarza Piotra Stachiewicza, które je zdobią.

Ze względu wszakże na wysoką cenę księgarską tego luksusowego wydania — 40 zł. w. a., — szerszy ogół myśliwych niezamożnych musiał zadowolić się jedynie jego wyjątkami, objętymi wspomnianą recenzją.

Aby umożliwić członkom Towarzystwa obznajomienie się z pełnym tekstem tej książki, wykorzystano dogodną ku temu sposobność. Oto, gdy ks. Andrzej Lubomirski na Walnem zebraniu wnosi, aby Józefowi hr. Potockiemu wyrazić podziękowanie za wzbogacenie polskiej literatury łowieckiej tak pięknem i cennem dziełem, uchwalono też uprosić autora o udzielenie Towarzystwu zezwolenia na przedruk tych notatek w „Łowcu“, oraz o wypożyczenie klisz, ilustrujących przygody myśliwskie dzielnego łowcy, przeżyte w Somali.



„MUC“

znany dzikarz, wł. p. Henryka Preka (Łuka, pocz. Bukaczowce), zapędziwszy się przed dwoma tygodniami za dzikiem w lesie błudnickim koło Halicza, przepadł bez wieści. Upraszamy gorąco myśliwych naszych o pomoc w odszukaniu zguby i ewentualne uwiadomienie właściciela, który ofiarowuje za odnalezienie 200 zł nagrody. Tą kwotą rozporządzać więc mogą łaskawi nasi czytelnicy, jako pomocą w spełnieniu tej wielkiej, koleżeńskiej usługi. Opis pieska: mały, ostrowłosy, szyja, pierś i łapki białe, główka i grzbiet bronzowe, ogon zakręcony, od połowy do końca biały, nosek bronzowy, nie czarny.

Znamienną jest swą skromnością odpowiedź autora tych porywających opisów zamorskich łowów.

Oto jego list do wiceprezesa Czarkowskiego-Golejewskiego:

Jaśnie Wielmożny Panie!

Poczuwam się do miłego obowiązku wyrazić JWPanu swe szczere podziękowanie za zaszczytne dla mnie słowa, zawarte w Jego szacownem piśmie z dnia 13 lutego b. r. i pozwalam sobie upraszać Go, by wyrazy mej wdzięczności za łaskawe uznanie mej skromnej pracy, wyrażone na ogólnem zebraniu gal. Tow. łowieckiego, do wiadomości członków Wydziału i przyszłego ogólnego zgromadzenia tegoż Towarzystwa podać raczył.

Czuję się głęboko wzruszonym tym dowodem uznania ze strony bratniej drużyny galicyjskich myśliwych i ze wszystkich oznak łaskawego przyjęcia, jakie me „Notatki myśliwskie doznały, poczytuję sobie za zaszczyt największy, jednogłośną uchwałę gal. Tow. łowieckiego, do którego sam od chwili jego założenia należę i do jedności z którem poczuwać się nie przestałem.

Z wyrazem wysokiego szacunku JWPana sługa powolny Józef Potocki.

* * *

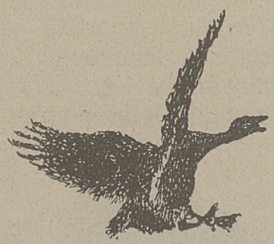
Celem uczczenia złotego jubileuszu panowania F. J. I. zebrali się w Wiedniu d. 25 czerwca 1898 r. łowcy ze wszystkich krain ówczesnej Austrji, aby złożyć hołd wielkiemu miłośnikowi myślistwa. Na czele grupy łowców naszego kraju stali prezes gal. Tow. łowieckiego, Roman hr. Potocki i wiceprezes Tadeusz Czarkowski-Golejewski, a wśród tej grupy między innymi: Juliusz

hr. Bielski, Adolf br. Brunicki, hr. Korytowski, ks. Andrzej Lubomirski, Antoni hr. Wodzicki i wielu innych wybitnych myśliwych polskich,

Wszyscy łowcy, w liczbie przekraczającej 4.000 w strojach myśliwskich, z przewieszonemi przez ramię strzelbami i torbami, z kordelasami u boku — zebrali się w Schoenbrunie. Jubilat po powitaniu go przemową przewodniczącego zebranych, wręczeniu mu złotej gałązki dębiny i odegraniu fanfary na rogach myśliwskich, dziękując za tę owację, podniósł, iż „zawsze mile wspomina chwile, kiedy po trudach pracy, szukał rozrywki, wzmocnienia, pokrzepienia się i radości wśród borów, w kniei, polując na zwierza“.

Następnie przechodził jubilat od grupy do grupy i rozmawiał z przedstawicielami deputacji o stosunkach łowieckich.

* * * C. d. n.



HIERONIM TARNOWSKI

W sprawie etyki myśliwskiej

Serdecznie wdzięczny jestem czcigodnemu autorowi „Jednego z przykazań etyki myśliwskiej“ że artykułem swoim dał mi asumpt do podniesienia kilku kwestji dotyczących tej etyki. Mało może mam prawa w takich sprawach głos zabierać, bom zwykły jeno towarzysz z pod chorągwi Św. Huberta — a słowa o tradycyjnych, niepisanych prawach z doświadczeńszych i zasłużeńszych niż moje ust wychodzić powinny. Ale może moje słowa wywołają odpowiedź z takich właśnie ust — a to byłoby dla łowiectwa bardzo pożądanem.

Jak honor od człowieka, tak etyka myśliwska od myśliwego dużo wyższe stawia wymagania, niż ustawa. Podstawą tej etyki winno być to, co Anglicy nazywają „fair play“, a co w żadnym innym języku nie da się wyrazić. Tej fair play powinien myśliwy jaknajskrupulatniej przestrzegać, nietylko wobec sąsiada i kolegi-myśliwego, jak na to wskazuje „Jedno z przykazań etyki myśliwskiej“, ale i wobec zwierzyny.

Tu chodzi mi specjalnie o etykę w stosunku do zwierzyny.

Przedewszystkiem oczywiście o to, by, zadając śmierć, możliwie jaknajmniej zadawać cierpienia. A co się nieraz niestety pod tym względem widzi? Ileż to razy w sztreifie czy kotle zając strzelony w zad czołga się na przednich skokach, aż go chłopak z nagonki schwyta i z tkliwością godną tradycji roku 1846 łapie za zestrzelane zadnie skoki, pozwalając przednimi przebierać po ziemi i śmiejąc się do rozpuku z rozpacznych wysiłków biednego zwierzęcia.

Myśliwy, który do czegoś podobnego dopuszcza, który zwierza nie dostrzeli dlatego, by w obrachunku mieć jaknajwiększą ilość zwierzyny na jaknajmniejszą ilość strzałów — taki myśliwy zasługuje mojem zdaniem na nazwisko rakarza, ale nie myśliwego.

Niezgodne także z etyką myśliwską wydaje mi się być umyślne strzelanie do macior prośnych. Nie wchodzę w to, czy dzik więcej szkody, czy więcej pożytku przynosi — poruszyłem tę kwestję na łamach „Łowca“ w moim artykule „W obronie dzika“ i spotkał mnie zaszczyt, że ze strony wielu bardzo poważnych myśliwych usłyszałem zdanie zgodne z mojem. Tu jednak chcę stanąć tylko na punkcie widzenia ustawy, która dzika uważa za szkodnika i poleca tępienie go. Bardzo dobrze. Ależ kodeks karny za zbrodnie, które karze śmiercią, nie pozwala karać kobiety jak długo jest w stanie odmiennym. Ten sam wzgląd co kodeks karny dla zbrodniarki, powinien mieć myśliwy dla lochy.

Słyszałem raz pewnego „myśliwego“, który się chwalił, że zabił jedną kulą siedm dzików, zabijając prośną maciorę. Może się to zdarzyć każdemu, rozpoznać jest niezmiernie trudno — ale ktoś, co jest w stanie z takiego strzału się chwalić, nie powinien być mojem zdaniem zaproszony na żadne więcej polowanie w swojem życiu.

Tembardziej nie powinno się strzelać do maciory, jak długo warchlaki nie są odchowane i nie mogą się same wyżywić. Jest to bowiem skazywaniem zwierząt, jakkolwiek szkodliwych, na powolną śmierć głodową. A to przekracza już granice tępienia, którego sobie życzy ustawa, a wchodzi w zakres wstrętnego wprost okrucieństwa.

Ale oprócz tych jaskrawych wykroczeń przeciw etyce myśliwskiej, są sposoby polowania, które, jakkolwiek przeciw tej etyce wprost nie wykraczają, to jednak mojem zdaniem nie są z nią zupełnie zgodne.

Co jest początkiem myślistwa? Bój. A „fair play“ wymaga, by bój był tego rodzaju, aby każda strona mogła wyjść z niego zwycięsko — czyli przetłumaczywszy to na stosunki myśliwskie, by zwierzę miało szanse wyjść

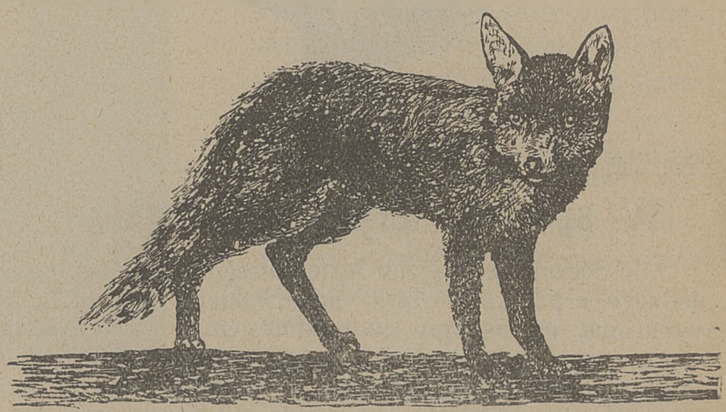
cało. Dlatego przeciwny jestem strzelaniu z lunetą na podjeździe czy podchodzie. Nie mówię tu o rykowisku w Karpatach, gdzie strzał bez lunety jest częstokroć niemożliwy — jakkolwiek mało który z myśliwych dzisiejszych przywiózł z Karpat takie trofea, jak Artur hr. Potocki lub Adam ks. Sapieha, którzy lunet nie znali. Ale w równiach, gdzie każdego niemal jelenia, każdego niemal rogacza na strzał gołem okiem podejść lub podjechać można, tam strzał z lunetą uważam za prawie że niemyśliwski.

I nietylko dlatego, że strzał z lunetą z podparcia na dystans, na który zwierz jeszcze nie jest zaniepokojony, nie pozostawia mu żadnej szansy — ale i ze względu na samą rozkosz myśliwską. Początkiem łowiectwa jest walka — i łowiectwo tem więcej ma uroku, powiem nawet o tyle tylko ma urok, o ile jest w niem ten pierwiastek walki. Najwięcej oczywiśnie z odyńcem przy psach, gdzie zawsze może zajść taka sytuacja, że „albo ty, albo ja" — a jak nie walki wprost ze zwierzem, to choć walki z jego instynktem samozachowawczym, z jego wzrokiem, słuchem, powonieniem. Czyż można porównać strzał z lunetą o 200 kroków do podchodzenia rogacza aż do kroków 80 czy 60 — gdy każdy nerw napięty jak cięciwa łuku, gdy człowiek wyrazić nie zdoła wrażeń, które półświadomie niemal odczuwa, gdy uczy się zważać na każdy powiew wiatru, gdy uczy się widzieć każdy listek koło siebie, każdą gałązkę pod nogą, a nie tracić przytem na chwilę z oczu zwierzęcia, zważać na każdy jego ruch? Nie — sam strzał to tylko piąty akt tragedji. O sam strzał może chodzić tylko strzelcowi, który dba o rekord dystansu strzału, albo strzelaczowi, co chce osiągnąć rekord ilości zabitej zwierzyny — myśliwy chce przeżyć wszystkie pięć aktów. A ten co strzela z lunetą na daleki dystans, pozbawia sam siebie dziewięćdziesięciu procent myśliwskiej rozkoszy. O tem mogę mówić z doświadczenia, bo nie licząc podjazdów, na które mnie łaskawie zapraszano, w moim Rudniku padało przed wojną rocznie od 60 do 80 rogaczy, z tej zaś ilości niejaka część i z mojej ręki.

Niezmiernie wiele uroku ma polowanie na rogacze z wabikiem, ale to uważam za zupełnie niezgodne z etyką myśliwską. Czyż nie dość złego, że dla naszej rozkoszy przecinamy rozkwit miłości w chwilach, gdy cały świat, cała przyroda śpiewa pieśń piękna i życia. Gdzie jest prawdziwy myśliwy, coby w chwilę po pierwszem upojeniu tryumfu nie żałował jednak przerwanej jego strzałem hieratycznej, tajemniczej miłosnej pieśni głuszca, albo królewskiej symfonji jelenia, w której grają wszystkie gammy uczucia od pragnienia i tęsknoty aż do wściekłości bojowej.

A jeszcze mielibyśmy oszukiwać zwierza, udawać, że czeka go miłość, by sam przyszedł do nas po śmierć? To myśliwego nie godne. Jak żołnierzowi, posłanemu na patrol wywiadowczy, nie wolno włożyć nieprzyjacielskiego munduru, choćby mu to niezmiernie ułatwiło zadanie, bo na to nie pozwala honor wojskowy — tak nam nie pozwala mojem zdaniem etyka myśliwska udawać głosu spragnionej miłości sarny na to, by podstępem zwabić rogacza na strzał. To polowanie skrytobójcze, tak jak w mniejszym stopniu także i zasiadka.

A łowiectwo to sztuka szlachetna, w której grają prastare uczucia walki i tryumfu. Nie pozbawiajmy myślistwa cech walki szlachetnej, nie obdzierajmy go z tego, co mimo dalekonośnej broni daje przecież jeszcze wrażenie walki i co daje istotne prawo do tryumfu.



MISTRZ - ROTMISTRZ

Kronika stara podarta i licha, u której niejednej karty nie dostało...

Ciąg dalszy

Wchodzę do kancelarji zły jak djabeł, bo nikt mnie się tak wcześnie w domu nie spodziewał i obiadu nie przygotowali. Klnę więc raz po razu na czem świat stoi, a zapalając papierosa od papierosa, zastanawiam się, jak wybrnąć z tego fałszywego położenia.

Widoczny spisek na mnie. Powiatowa mafja rozpoczęła wojnę podjazdową. Nigdy nie myślałem, żeby taki fatalny dla mnie obrót wzięła. Niech djabli porwą wszystkie ciotki i ich małżonków-niedołęgów, idących na pasku fartuszkowej opinji.

Dobrze, nie będę bywał nigdzie, nie będę się nikomu narzucać, zamknę się w czterech ścianach mego domu. A zechcę-li wyjrzeć na świat Boży, to mam parę setek morgów lasu, nieźle zwierzyną obsadzonego i w tej świątyni św. Huberta, znajdę spokój i zadowolenie moich duchowych potrzeb.

Lecz znowu jakżeż? Mam żyć jak pustelnik, mam milczeć jak głaz, nie oglądać twarzy ludzkiej? Świątynia leśna dobry pomysł, ale i w kościele ludzi się widuje, a wyłączne tylko towarzystwo zajęcy i lisów, zanudzi mi się à la longue.

Czy może mam poddać się i dumny kark schylić pod jarzmo haniebnego odwrotu?

Nie, — nigdy, nigdy!

Nie ugnę się pod presją. Nie będzie spisek spódniczkowy święcił tryumfów, nie będą się przechwalały powiatowe plotkarki, że wolnego syna puszczy, żołnierza z pod sztandaru św. Huberta zgięły pod kark małżeński.

Lecz w takim razie, jeżeli podejmę rzuconą mi rękawicę, co robić?

Pozostać w tej okolicy niepodobna. Trzeba się przynajmniej na jakiś czas rozwścieczonym babom usunąć z przed oczu. Za jaki rok, lub dwa, stosunki się może jakoś utrą, spisek się rozleci, chęć ukarania mnie osłabnie i wszystko wróci na normalne tory. Teraz jednak trzeba wykonać odwrót strategiczny i zniknąć. . . .

. . . .

Stało się. Raz powziąwszy stanowczą decyzję, zabrałem się energicznie do rzeczy. Rozpoczęły się długie i żmudne konferencje z pejsatymi i brodatymi przedstawicielami zaściankowej finansjery, których rezultatem było, że puściłem Blagierowce w dzierżawę na lat sześć

A. S.

Co kraj, to obyczaj!

Pamiętam, że, będąc małym chłopakiem, dorwałem się raz jakiegoś wybrakowanego ilustrowanego czasopisma, a odnalazszy w niem rycinę przedstawiającą grupę myśliwych przy śniadaniu czy też przy oglądaniu pokotu, wziąłem się do kolorowania tego obrazka. W dziecinnej fantazji chcąc tak dostojne grono myśliwych uczynić jeszcze świetniejszem, użyłem do pomalowania ich kurtek krzyczącego cynobru i karminu. Właśnie gdy kończyłem mniemane arcydzieło, nadszedł ś. p. Ojciec, a zobaczywszy barwną pstrokaciznę, uśmiechnął się i pouczył mnie, że w ten sposób nikt się na polowania nie ubiera, bo już z daleka byłby przez zwierza dostrzeżony.

W zeszłym roku zawisł pewnego dnia w trzecim pokoju lokalu Małopolskiej Spółki Myśliwskiej, ogromny anons amerykańskiej firmy „Winschestra“. Na olejodruku tym, w środkowej jego części, wyobrażono myśliwca amerykańskiego, ubranego w szkarłatną kurtkę, a podjeżdżającego łodzią jelenia. Przypomniało mi się natychmiast moje malarstwo z lat dziecinnych, a jednak powstała natychmiast refleksja, że przecie realnie na świat patrzący Amerykanin nie musiał malować zupełnie z fantazji, — a raczej tak, jak rzecz względnie osobę widział i widzieć przywykł.

Znakomity komentarz do wrzekomej ekscentryczności wspomnianego anonsu wyczytałem już niedługo potem w liście nadesłanym do M. T. Ł. przez członka naszego p. Jana Żmudę z Chicago. W liście tym bowiem pan Żmuda pisze następująco: „Wiem, że w ojczyźnie mojej w Polsce zdarzają się czasem niefortunne wypadki, raczej nieszczęścia, postrzelenia gońca lub sąsiada, za co gorący strzelec ciężko odpowiada. Stokroć ale gorzej jest z tymi wypadkami tutaj w Stanach Zjednoczonych lub w Kanadzie, gdzie tylu myśliwych różnych temperamentów i różnego doświadczenia poluje na deptaka, z zasiadki lub na wabika na łosia, jelenia i t. d. Tutaj polując, dobrze jest wprzód zrobić testament, a mieć się na baczności przed tak zwanymi Bock treferami, jak ich tu zowią, bo w terenie pagórkowatym, obfitującym w gęste krzaki, wysokie trawy i przepaściste potoki, o nieszczęście łatwo, a to nie z rąk umiejętnych myśliwców zawodowych, lecz z rąk nerwowo usposobionych miastowych marzycieli o jelenich rogach. Myśliwi tacy bowiem będąc w kniei, myślą, że wszystko co się porusza jest zwierzyną, więc palą bez namysłu często w drugiego myśliwca. Najlepszym jeszcze sposobem ochrony jest taki, by, polując, zapiąć sobie na czapkę czerwony płatek flanelowy lub nawet zawdziać czerwoną kurtkę, w takim bowiem razie i miastowy myśliwy czasem zobaczy, że to nie jeleń, a człowiek. Niebezpieczeństwo postrzału jest tu tem poważniejsze, że się poluje tutaj przeważnie z bronią bardzo grubych kalibrów“.

Pod ten sam tytuł, jakiego powyżej użyłem, podciągnąć można i drugą wiadomość przez p. Żmudę nam udzieloną; chcę jednak rzecz wpierw poprzedzić małym komentarzem.

Obowiązujące u nas i w kilku jeszcze państwach Europy ustawy łowieckie możnaby nazwać terytorjalnemi, bo prawo polowania przysługuje właścicielowi gruntu, w której zasadzie nie czyni wyłomu postanowienie, że właściciele mniejszych obszarów ziemi muszą się łączyć w spółki łowieckie i bądź swe prawo polowania wydzierżawiać, bądź wykonywać je przez ustanowionych myśliwych. Są jednak w Europie państwa, które już w XIX wieku inaczej tę sprawę uregulowały, opierając prawo polowania na zezwoleniu władzy, czyli na t. zw. licencjach. W ten sposób wykonywane jest prawo polowania w Europie w Szwecji, przynajmniej, o ile wiem, w górach na łosie i w ten sposób regulują je Stany Zjednoczone, a niewątpliwie wszystkie inne państwa Nowego Świata. Otóż nam przyzwyczajonym do naszych stosunków, wydaje się prawie niemożliwem, by przy systemie licencji, o które kompetować może każdy nienaganny obywatel

---

a ułożywszy moje interesa mniej więcej korzystnie, wyjechałem do stolicy.

Nie znalazłem tam jednak spodziewanego odpoczynku dla stroskanej duszy. Brak mi było zajęć gospodarskich, do których przywykłem, smutnem okiem spoglądałem na leżące bezczynnie w futerałach strzelby kochanki, i rzecz nie do wiary, a jednak prawdziwa, wśród bezsennych nocy, w dzień nawet czasem, coraz częściej zjawiała mi się przed oczyma, powabna postać Anuli Ciumpanienko. Widziałem jak na jawie jej warkocze z hebanu, jej kibić wężową, a jednak pełną, ogromne fjołkowe oczy, któremi do dna duszy ludzkiej sięgnąć umiała. Czułem na szyi splot jej pulchnych ramion, czułem na ustach słodycz jej pocałunków. Mimowoli wyrywała się dusza moja ku tej ponętnej zjawie.

Zdenerwowany i na duchu upadły, łaziłem bez celu po mieście, zaglądałem z nudów do najniemożliwszych lokali, zacząłem nawet, horribile dictu, troski i tęsknoty topić w kieliszku.

Raz, nie mogąc usiedzieć w hotelowym pokoju, z obawy, aby mi się Aniela-mara znów nie ukazała, zaszedłem do podrzędnego szantanu i tu w towarzystwie dwóch adeptek podkasanej muzy, szampanem zalewałem robaka. Jedna opudrowanem ramieniem objęła moją szyję, druga siadła mi na kolanach i zdartym głosem śpiewała stary jak świat niemiecki refren:

Es komt vom vielen Dżiniadratta!

Trink Bubi ex, Kellner noch eine Flasche, — woła dziewica z pachnącem ramieniem. — Zuckergerscherl, sei brav, lass noch eine Flasche springen, — przymila się druga kotka.

Silnie pchnięte, otwierają się na oścież drzwi wchodowe. Wchodzą dwaj opięci i wygjęci oficerowie od ułanów. Mundury bez zarzutu, rozdział aż na kołnierzu, słusznie zwany Lauspromenade, w oku monokl błyszczy.

Servus Joschi, servus Schani, krzyknęły moje towarzyszki, — i zerwały się od stołu; pofrunęły ku milszym, bo kolorowym gościom.

Wiadomo: *Za mundurkiem*
panny sznurkiem.

Nie zdziwiła mnie wcale ta dezercja wesołych cór Koryntu, ani oburzyła, raczej była mi tak obojętną, że mimo mojej samotności, nie przestałem opróżniać szklanek pieniących się perlistym napojem, i patrząc tępo przed siebie, utonąłem cały w niewesołej zadumie...

C. d. n.

Stanów Zjednoczonych, mogła się tam dotąd jakakolwiek zwierzyna utrzymać, zwłaszcza przy doskonałej broni repetjerowej lub automatycznej, tam z predylekcją używanej i przy rozwiniętych tak wysoko środkach komunikacyjnych. „Tajemnicę“ możliwości istnienia zwierzyny w Ameryce wyjaśnie nam właśnie list p Żmudy i oto wyciąg z tego listu:

„Chcę zapoznać panów myśliwych z Europy, jak tu w Ameryce, w tym kraju „wolności“ surowo karzą przestępstwa prawa łowieckiego. N p. w Stanie Nebraska ukarano czterech przestępców (violators) prawa łowieckiego, a to za naruszenie czasu ochronnego tak pokaźnemi grzywnami, że się im nazawsze odechce takiego kłusownictwa. Pierwszy, pewien doktor, za ubicie pięciu dzikich kaczek dostał 300 dol. grzywny, dwóch jego kolegów zapłaciło po 250 dol. i 50 ct. za 9 kaczek cyranek, a czwarty, europejski emigrant, zapłacił za 3 kaczki 200 dol. i odsiedział 27 dni we więzieniu. Karty polowania (License) i broń zostały tym „myśliwym“ skonfiskowane. Największą jednak karą, bo 1.100 dol. wyznaczono sześciu Włochom, za nieprawidłowe ubicie koło Chicago Heights 11-stu kurek bażancich. Bażantów wolno tam odstrzelić po 2 dziennie tylko przez 5 dni, od 10 do 15 listopada; zauważyć bowiem należy, że bażanty w tym Stanie (Illinois) zostały zapuszczone w 1913 r. przez stanowego gubernatora i że dopiero po dziesięciu latach zupełnej ochrony zezwolono na wyżej podany umiarkowany odstrzał.

Trzeba podnieść, że tutejsi Włosi są największymi niszczycielami zwierzyny i dlatego są niecierpiani i przez innych myśliwych i przez farmerów. W stanie Jowa dwaj Włosi, którzy zabili strażnika łowieckiego (Game Warden), aresztującego ich za bezprawne strzelania kuropatw, zostali na śmierć skazani, a dopiero gubernator stanu zmienił im tę karę na dożywotnie więzienie“.

Tyle p. Żmuda. A teraz nasuwa się refleksja! Czy w naszych stosunkach, przy znanem nieposzanowaniu ustaw przez obywateli, a dziwnej nieraz zaiste pobłażliwości władz administracyjnych i sądów, byłoby możliwem uregulowanie prawa polowania na zasadzie licencji? W lat 5 do 10 po zaprowadzeniu takiego systemu z pewnością nie pozostałaby tu żywa noga!!



15 niedźwiedzi w dwu miotach

W n-rze 31. „Deutche Jäger Zeitung“ z r. 1925 opisuje Eugenjusz hr. Teleki polowanie na niedźwiedzie, które pod względem rozkładu osiągnęło chyba światowy rokord. Odbyło się ono w Maros-Vecs, posiadłości br. Kemeny w Siedmiogrodzie, 10. października 1925 r. Wzięto dwa mioty, w pierwszym padło 11, w drugim 4 niedźwiedzi, oprócz tego widziano jeszcze około 15 sztuk tej zwierzyny. Żadnej sztuki nie postrzelono. Królem polowauia był hr. Geza Teleki (naznaczony krzyżykiem na fotografji), ubiwszy w ciągu dwu godzin cztery grube sztuki w pierwszym miocie. Wśród ubitych, był tylko jeden młody; najgrubsze ważyły 210, 204 i 160 kg.

Nadzwyczajna obfitość niedźwiedzi w tych stronach daje się wytłumaczyć niesłychanym urodzajem dzikich owoców w owym roku. Jako ciekawy fakt podaje hr. Teleki, że najgrubsze dwie sztuki tyle ważyły kilogramów, ile centimetrów miały długości, a więc 210 i 204.

PRZED ŚNIEGIEM

Ciąg dalszy

Jako dwoje ludzi, gdy się w lesie szuka,
jeden do drugiego po dwa razy huka, —
tak na Kazimierza dwa oddane strzały
z drugiej końca linji dwa odpowiedziały.
To strzelał Stanisław, bo z innego stadła
sarenka i rogacz na niego wypadła.
Kozioł, będąc w krzakach, zatrzymał się w biegu
i z nich głowę wytknął, nie wiedzieć dlaczego.
Stanisław się złożył i szybko wypalił;
po strzale usłyszał jak trup w gąszcz się zwalił.
Pozostał na miejscu, złamał dubeltówkę,
wsadził nowy nabój w swoją prawą lufkę —
nagle... w tymże krzaku słyszy szmer i hałas.
To rogacz powstaje! — myśl mu przyszła naraz.
Widzi — a w tym krzaku znów jest łeb wytknięty
jako dwie jagody między liśćmy pręty.
Granatem błyszczące spostrzegł oczu dwoje.
Czekaj! — wypowiedział — ja cię uspokoję!
Palnął niżej czoła najgrubszym sarniakiem;
w tej chwili coś ciężko upadło za krzakiem.
Podchodzi do gąszczy, silnemi ramiony
rozwarł gęste krzaki, patrząc, stał zdumiony, —
bo tuż u stóp jego, na mchu leśnym puszku,
jak dwoje małżonków śpiących w jednem łóżku —
leżał rogacz z kozą. Stanisław w zadumie
palcem w czoło pukał i rzekł — „Już rozumię“!
Wyraźnie mówiły oczy jego, mina,
że on od początku sobie przypomina
jak to wszystko było, gdyż tak ciągnął dalej:
Ja dobrze pamiętam, że po pierwszym strzale
padł rogacz, a sarna szybko w las pomyka,
a później, spostrzegszy, że brak przewodnika, —
napowrót wróciła w te same zarośla
i tu ją zgubiła ta ciekawość ośla.
Myślałem że rogacz znów się na mnie gapie;
czyż mogłem przypuszczać? Któż się tu połapie?
A gdy im opiszę ten wypadek szczerze —
czyż znajdzie się taki, który mi uwierzy?

Tu chwycił za trąbkę — a jej głos jak goniec
oznajmił myśliwym tego miotu koniec.

Ruszają w miot drugi, a bryczka za bryczką
linją lasu jedzie jak wąską uliczką
Na pierwszej Kazimierz wśród myśliwych grona
głową ciągle rzucał, otwierał ramiona,
wreszcie lewą rękę jak strzelbę nastawił,
na prawej zaś głowę ułożył, poprawił,
swe oko przymrużył jakgdyby się składał —
i, jadąc w tej pozie, tak im opowiadał:
Miałem go na muszce; prowadzę (tu miękki
łuk wolno zakreślał ruchem lewej ręki).
„Tak, jak ciebie widzę — rogacz!“ W tym momencie
bryczka się przechyla nagle na zakręcie —
Kazimierz ramieniem, gdy tak opowiada,
w nos kułakiem machnął przypadkiem sąsiada.
Śmiech długi, wesoły, zabrzmiał głośnem echem;
Kazimierz przeprosił i ręce z pośpiechem
wparł w kieszeni kurtki, choć dalej rozmawiał,
z rąk strzelby nie robił, ani nie wystawiał.
Na drugiej Stanisław mówić nie przestawał:
to kozła, to sarnę ruchami udawał.
Żadnemu ze strzelców nie dał przyjść do słowa,
przejęty zdarzeniem, zaczynał od nowa.

I tak wśród okrzyków, gwaru i hałasu,
obie bryczki wolno wyjechały z lasu,
na przełaj leciały po szarym ugorze,
aż wreszcie stanęły w przeciwległym borze.
Z jednej strony kniei biegł w pole otwarte
zrąb niski, splątany w sobie, gęsto zwarty;
w gąszczach przykucnęły drzew pniaki dębowe,
pod trawy i krzaki kryjąc łyse głowy;
tylko ponad zrębem — śród tych lasu ruin,
jako na pustyni samotny Beduin —
sterczał dąb wysoki. Z drugiej lasu strony
czernią orne pola pocięte w zagony;
przez nie, szemrząc, płynie mała, wąska rzeka
okryta wikliną — szybko w bór ucieka,
a zdala podobna do olbrzymiej glisty
gdy pełźnie — i w trawach kryje grzbiet srebrzysty.
Nad rzeką drzew para. Pominąć je szkoda.
Stara sosna strojna — jak wskazuje moda —
jak niektóre panie, naga jest w połowie,
sam szczyt, jak kapelusz ma tylko na głowie;
na pniu, pod konarem, szpecąc ją w urodzie —
wielka huba rośnie, jak brodawka w brodzie.
Grab zaś, koło sosny, trochę pochylony,
suchemi gałęźmi bił ciągle ukłony;
na grubym konarze jemioła wysoko —
okrągła, jak monokl wyglądała w oku;
poniżej gałązka ułamana stara
zupełnie podobna była do cygara,
a grab, jak „Don Juan“ stojąc z tyłu sosny
na kształt tęgi patrzył, śląc jej wzrok miłosny.

Pomiędzy tym zrębem a rzeczułki strugą
stanęli myśliwi jedną linją długą.
Z pod lasu wybiega skibą jednolita
gruba czarna orka, niczem nie okryta.
W lesie drzewa stoją w zastygłym bezruchu;
wokół taka cisza, że aż dźwięczy w uchu.
Tylko głos pogonki w głębi leśnej toni
drga wciąż tak ledziutko, jako motyl w dłoni.
Pod tchem cichym wiatru, zda się, że co chwila
ten szelest w powietrzu jak woń się rozpyla,
jak słodka trucizna, co myśliwskie nerwy
w naprężeniu trzyma i drażni bez przerwy.
Nagły strzał, jak okrzyk, napełnił las cały!
Jak na dane hasło — inne się ozwały:
najpierw pojedyńczo, później w zgodnym chórze,
tak knieją zatrzęsły jak jesienne burze.
Skoro do jaskini wejdzie kupa ludzi

i w dzień śpiące gacki hałasem obudzi,
tak samo szaraki, krzykiem wypłoszyne,
z ciemnej głębi lasu mkną w polne zagony
ogłupiałe hukiem, gęstą strzelaniną —
przez linję śmiertelną czasem się przeminą;
tu szarak po skibach toczy się jak kula,
raz słuchy podnosi, raz znowu je stula, —
nagle w bok uskoczył, zadkiem w mig zawinął,
znikł w bruździe szerokiej, jakby się rozpłynął.
Tam przedarł się drugi, choć strzelany, zmyka —
zdaje się, że w biegu ziemi nie dotyka,
aż śrutem trafjony — prosto w górę skoczył:
chciał się szybko zerwać, — tylko się zatoczył
i wił się pod skibą jak wróbel pod sidłem,
lub jak ptak raniony z odstrzelonem skrzydłem.
Jeszcze kot ostatni z pod nóg obławników
ruszył, — przebiegł linję wśród wrzasku i krzyków.
Ktoś szybko dubluje. On po drugim strzale
wykonał ostatnie swe „salto mortale“,

Głos trąbki dla wszystkich był znanym rozkazem,
by zejść ze stanowisk i zebrać się razem.

Tymczasem Stanisław z kieszeni notatkę
wyjąwszy, popatrzył na strzelców gromadkę
i rzekł: „Przypominam wam wszystkim na nowo,
bo dziś przy śniadaniu dał mi każdy słowo —
że szczerze się przyzna, nie będzie blagować!
A więc po kolei pudła mi dyktować!“
I tak, jak profesor o surowej minie
uczniom dwójki pisze na szkolnej godzinie,
taksamo Stanisław w notesie w porządku
pudła zapisywał wszystkim bez wyjątku.
Więc teraz uważnie coś mnożył i dzielił
(podczas dodawania dziwnie się weselił);
skończył. Bo wzniósł w górę notatkę, ołówek
i rzekł: „By nie było ćwiartek ni połówek,
ja zaokrągliłem sam każdemu kwotę,
by groszy uniknąć, a mieć równe złote!
Za dwie zaś przypadkiem ustrzelone sarny —
po pięć złotych liczę, jako strzały karne.
Aby więc króciutko skończyć swoją mowę,
zebraliśmy z pudeł na cele budowy
ołtarza św. Huberta (tu zerknął w notatkę) —
dziewiętnaście złotych jako pierwszą składkę“.
W tej chwili myśliwi w serdecznej podzięce,
jedni wśród wiwatów wzięli go na ręce,
drudzy, w dłonie klaszcząc, krzyczeli wciąż „Brawo“
i w stronę szli bryczek kupą zbitą, żwawo!

C. d. n.



WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

Czterdzieści lat myślistwa w stepach i puszczach

1880—1920

Ciąg dalszy

Ładowano na wozy worki ze zbożem, mąką, połciami słoniny, wędlin, faski z masłem, beczki z kapustą, kuchenne sprzęty, naczynia, narzędzia ślusarskie, stolarskie przyrządy, a gdy opustoszono spichlerze, komory i piwnice, rzucono się do wozowni, stajen, obór i chlewów. Zdzierano z ekwipaży obicia, skóry z fajetonów, wyprowadzano najlepsze konie, klacze zarodowe, siodłano lub wprzęgano je do wozów, a gdy iść nie chciały, bito niemiłosiernie, kłuto lub cięto szablami. Jakiś drab wyprowadza ogiera, siodła go i siada. Ogier rozparł się szeroko i z miejsca ruszać nie chce, lecz bity i ostrogami bodzony, daje kilka szczupaków, staje dęba i wali draba na bruk. Podbiega inny, wskakuje na siodło, ale jeszcze króciej na niem siedział. Rozwścieczony rabuś płata koniowi łeb kindżałem, porzuca go i biegnie po inną zdobycz. Wypędzono z obór bydło, konie z zagród — ryk bydła, rżenie matek i pisk źrebiąt, robią jeszcze większy zamęt. Kilku żołdaków i chłopów gonią rozhukanego buhaja, a gdy ujęty iść za bramę do czekających żydów nie chce, kaleczą go szablami i przebitego za 40 rubli sprzedają rzeźnikom. Przebrane w płaszcze i papuchy wiejskie dziewki uganiają się za drobiem — łapią indyki, gęsi, perlice, kaczki, ukręcają im głowy, pakują w wory, które na wozach jak żywe podskakują długo jeszcze. Karmione wieprze idą pod nóż, dymiące połcie przewieszają przez siodła lub biorą drgające jeszcze na plecy. — W czasie tej okropnej orgji przybiega ma żona z córką na folwark i proszą, bym szedł z niemi. Idę więc na chwilę do dworu, gdzie zastaję sędziwego p. B. modlącego się przed obrazem Matki B. Częstochowskiej. Przez tych kilka godzin zmienił się bardzo, posunął się jakoś i pobielał. Wiadomości o ostatnich wydarzeniach przyjął chłodno, a na prośby, by wyjeżdżał, odpowiedział odmową. Powracam na folwark. Rabusie dorzynają resztę zarodowej obory, wyciągają z ukrytych kątów ostatki inwentarzy i sprzętów. W wielu miejscach chłopi z żołdactwem walczą o zdobycz, padają pojedyńcze strzały. W niepokoju o mnie nadbiega znów żona z Władzią, spłakane i trzymające na piersi obraz M. B. Częstoch., proszą bym porzucił to piekło i wracał do pałacu, lecz w tej chwili od pól pędzi oddział kawalerji i z podniesionymi pałaszami wbiega całym pędem między tłumy rabusi, płazuje ich i rozpędza. Powstaje popłoch i straszne zamięszanie, pojedyńcze utarczki, stawiany opór chwilowy, poczem masowa ucieczka. — Była to odsiecz, nadesłana przez ziemski komitet, dla uratowania zagrabionego dobra, które komitet za wyłączną swą poczytywał już własność i z rabusiami nią dzielić się nie chciał.

Zaprosiłem owych obrońców na kolację do pałacu, w czasie której musieliśmy im usługiwać. Było między nimi wielu ludzi inteligentnych, lecz starali się oni zachowywać formy chamstwa i bolszewickie wygłaszali maksymy. Pozostawili nam wzmocnione warty i przespaliśmy spokojnie tę noc, niestety ostatnią z bardzo wielu długich późniejszych.

Wieczorem, gdy pełnia księżyca oświetliła zrabowany folwark, poszedłem go obejrzeć. Przedstawiał widok okropny. Budynki czarnemi, wybitemi otworami smutnie patrzały, pustka wiała z każdego kąta, psy z opuszczonemi łbami włóczyły się, zawodząc żałośnie. Nie zarżał koń i nie parsknął przy pełnym żłobie, nie zabeczało cielę, n,

owca się nie odezwała, tylko puszczyk na obdartym dachu żałośnie jęczał. Z pięknego, zamożnego majątku, pozostała pustka i ruina, ocalał pałac, ale nie na długo. O wczesnej porze wbiegło na dziedziniec dwóch pijanych artylerzystów. Komendant II i III baterji Kononów i Morozów, chamy. Zażądali widzenia się z „pamieszczykom“, a gdy go znaleźli w gabinecie, każą mu się ubierać i iść za sobą. Przewidując nieszczęście mu grożące, zastępuję drogę i proponuję komendantom zabrać resztę paszy i owsa dla swej baterji. Poszliśmy obejrzeć sterty, gdzie już zebrała się gromada chłopów, łakomych na paszę. W czasie sprzeczki komendantów z nimi, udaje mi się wyprowadzić p. B., o którym pijani zapomnieli. Po ich odjeździe i obietnicy powrotu proszę p. B. natychmiast wyjechać, lecz uparty, a może zbyt przywiązany do rodzinnych kątów starzec, nie chce usłuchać i pozostawić nas samych, jak się tłumaczył. W godzinę potem siedział już na nędznym wózku z jednym kuferkiem zaledwie i wyjeżdżał, by więcej nie powrócić, zmuszony przez chamów Żukowieckich, grożących mu śmiercią. Ciężkie było nasze pożegnanie, nie lekko było mu opuszczać Marylin, ale i nam nie uśmiechał się tu dalszy pobyt — lecz miałem sobie za obowiązek pozostać na posterunku, tem więcej, iż p. B. zrobił nas pełnymi władcami całego majątku. Zmarł p. B. w Żytomierzu na poddaszu, doduszony przez zbójów. W godzinę po jego wyjeździe, gdy jeszcze nie zdążyliśmy pozamykać szaf, biur i t. p. — wpadła banda tych samych chamów Żukowieckich pod komendą polaka „Felka Polaka“ i odebrawszy wszystkie klucze, zabrawszy broń, wypędziła nas z pałacu, nie pozwalając nawet zabrać nam własnych naszych ubrań i najmniejszego pożywienia. Osiedliśmy w pustej, odrapanej chatce w podwórzu, umeblowanej zaledwie kilku ogrodowemi meblami. Długich pięć miesięcy jednakże tu przemieszkaliśmy, niepokojeni ustawicznie i zagrożeni śmiercią. Gdy tylko zapaliliśmy światło wieczorem, strzelano do naszego okna z za węgłów — w dzień nawiedzali nas jacyś łazęgi podejrzani, którzy żądali ugoszczenia i datków pieniężnych, pomagali nam zjadać resztki naszych skromnych zapasów. Patrole, rewizje niemal codziennie nas niepokoiły.

W grudniu złupili chłopi pałac, strzeżony przez komitet, niszcząc w nim nawet piece, wydzierając drzwi, okna i posadzkę. Dziesiątego grudnia ostrzegł mnie jakiś nieznany chłop o mającym być napadzie na nasz domek, gdyż otrzymaliśmy z Kijowa wysłane nam jeszcze latem rzeczy, teraz nadeszłe. W Żukowcach stała auto-kolumna bolszewicka pod komendą por. Paszczenki (żyjącego obecnie w Warszawie inżyniera auto-fab.) Udałem się do niego o pomoc, której mi nie odmówił, przybył wieczorem z autem, zabrał nas i lepsze rzeczy i umieścił w kasarni, gdzie tydzień przemieszkaliśmy. W czasie tego pobytu udało mi się skłonić p. P. do przeniesienia swej kolumny do Marylina, zajęcia dworu. Odtąd czuliśmy się więcej bezpieczni w naszej chatce. Urządziliśmy sygnalizację i odpieraliśmy skutecznie urządzane napady na nas i kolumnę, która swym dostatkiem nęciła rabusiów. Na dany sygnał wartowego wybiegaliśmy i w kierunku podejrzanym dawali salwy karabinowe, na co nam niekiedy także odpowiadano. Po jednej z takich nocnych utarczek znaleźliśmy krwawe ślady na śniegu i obfite szmaty pokrwawione na drodze do wsi porzucone. Uspokoiło to na czas jakiś złoczyńców. Po roku 1918 otoczyła banda chamów nasz domek, zabrała resztę mebli i wyrzuciła nas na dwór i trochę naszych ubrań i pościeli. Wtedy zajęliśmy przedsionek w pałacu o rozwalonych piecach z wybitemi oknami, śpiąc bez łóżek na ziemi i karmiąc się z kuchni automobilistów. Por. Paszczenko zagrożony śmiercią przez zbuntowaną komendę, zemknął niepostrzeżenie. Lecz i tu nas nie pozostawiono w spokoju — strzelano nocami z pobliskiego lasu, lecz kule więcej robiły szkód w cynkowym dachu pałacu, jak nam szkodzić mogły.

Wreszcie 25. lutego ostatecznie zmusił mnie komitet włościański do opuszczenia Marylina. grożąc mi śmiercią w razie dłuższego tu pobytu. Pod opieką kilku uzbrojonych kolejowców-polaków ze Zmierzynieckiej Brygady — przejechaliśmy do miasta, atakowani przez wrogich chamów w przejeździe przez Żukowce i mijający nas pociąg bolszewicki, z którego strzelano do nas. Jeszcze w Marylinie jak i tu Żmierzynce odwiedzały nas nasze córki, urzędujące w cukrow. biurze Stanisławczykowskim, skąd konno w noce ciemne niepostrzeżenie się przedostawały do nas przez pola i bory. Opatrzność opiekowała się niemi i szwanku żadnego nie poniosły. Ja byłem mniej szczęśliwym. Wracając raz od córek, zostałem ostrzeliwany przez jakichś łotrów, ukrytych w przydrożnym lasku, lecz kule przelatywały nademną lub padały poza mną. W Żmierzynce umieściliśmy się w brudnym, maleńkim pokoiku w domu p. B., zajmowanym przez kolejowy bataljon (polaków).

Pierwszego marca o 7-mej rano zbudził nas huk armatniego wystrzału, stojącego przed naszym domem na linji bolszewickiego pancernego pociągu. W odpowiedzi od strony bliskiej stacji kolejowej posypał się grad kul karabinowych, osypując probostwo i nasz dom z niem sąsiadujący. Gdym wybiegł na ganek. pancernik sypał stalowym deszczem po relsach ku stacji, skąd nadeszło kilku nieznanych żołnierzy w stalowych hełmach. Byłł to austrjacy, zajmujący miasto. Odtąd zażywaliśmy kilkumiesięcznego spokoju i porządku. Z pomocą dodanych mi 18-tu węgierskich huzarów objąłem Marylin, dokąd codziennie jeździłem z eskortą konną na mym Francie, odebranym od rabusia Żukowieckiego. Odzyskałem też część zrabo-

wanego dobra, kilka koni, bydło i umeblowanie pałacu, gdzie po długich mych staraniach stanęła brygada węgierskiej artylerji, przyprowadzając pałac i stajnie do pewnego porządku. Przy współudziale węgrów sprzątnąłem żniwo, wymłóciłem całą krestencję, zrobiłem wczesne posiewy. Dobre stosunki z chłopstwem zdawały się powracać. Chłop stał się potulnym, uległym i posłusznym, ja zaś puściłem wszelkie urazy w niepamięć, nawet przebaczyłem stelmachowi Kaczorowskiemu za podłożenie pod nasz dom dwóch ekrazytowych min, które nie wybuchły na szczęście. Byłem daleki od wszelkiej zemsty. Majątek dał niebywałe zyski dotąd, do czego głównie przyczyniły się wygórowane ceny, mimo wszelkich rozchodów, jakie długi postój brygady i sztabu oficerów za sobą pociągały.

W dawno niespolowanych terenach leśnych Marylina i sąsiadujących z nim lasów, miałem trochę zwierzyny, więc mym węgrom urządziłem polowańko, na którem było trzech księży katolickich, trzech narodowości: węgier Frymer, czech Kantzki i miejscowy proboszcz Zajączkowski. Zabiliśmy trzy lisy i sporo zajęcy i mamy zajmować gęste, wyrosłe zagajenia, gdy nadbiega objazdowy obieszczyk z uwiadomieniem, że w końcu lasków stoi kilkudziesięciu bolszewickich jeźdców. Naturalnie zaniechaliśmy dalszego polowania i dali znać o tem brygadjerowi Stephanesco, który wysłał jedno działo i oddział kawalerji, z porucznikiem Kiszem, który po tygodniowym pościgu powrócił do Marylina. Był to początek końca panowania austrjackiego i naszego w Marylinie. Odtąd coraz częściej pojawiali się bolszewicy i w otwarte wchodzili walki z cudzoziemskiemi wojskami. Najnieoczekiwaniej major Stephanesco wystąpił z Marylina ze swą brygadą w końcu października, a w kilka dni potem wybuchł bunt wojska w XXIV korpusie gen. Stoffmana, okupującym Zmierzynkę. W niedzielę 6. listopada oddział kroatów otoczył w czasie objadu kasyno oficerskie i podpalił budynek z oficerami, szpitale i kasarmy. Noc całą alarmowały miasto ustawiczne sygnalne świstki parowozów, trwożne jęki licznych cerkiewnych dzwonów i obiegające pogłoski o pogromie i rzezi mieszkańców. Po sromotnej ucieczce austrjaków chamstwo podniosło harde łby i jawnie wystąpiło przeciw nam, Zaczęto jawnie rabować, wypędzać z majątków obywateli. niszczyć przyprowadzone cokolwiek do porządku ekonomie. Do Zmierzynki przysłano oddział śląskich strzelców 90-go pułku, pod komendą młodego rotmistrza Maksa Hecke, który zakupił z Marylina resztę paszy i pozostałego owsa, co chłopów podburzyło do oporu skrytego, o czem mnie tajnie powiadomiono. Radziłem p. Hecke by był ostrożnym, lecz zarozumiały niemiec ufał swym 450 strzelcom i 28 karabinom maszynowym zbyt nadto. „Nec Hercules contra plures".

Szóstego grudnia o bardzo wczesnym poranku powstał niezwykły ruch na wiodących z okolicznych wsi drogach do miasta. Przebiegali śpiesznie konni wysłańcy w tę i ową stronę — na linji przebiegło kilka lokomotyw. O 8-mej wszystkiemi drogami dążyły już do miasta tłumy uzbrojonego chamstwa, konno, na saniach i pieszo, na parowozach szczelnie oblepionych, a w arjergardzie całe bandy bab i wyrostków z worami i koszami na plecach po rabunek. O wpół do dziesiątej zatrzeszczał pierwszy kulomiot niemiecki na stacji w odpowiedzi na wystrzał armaty petlurowskiej w mieście. Bój się rozpoczął na całej linji toru stacyjnego. Do dwunastej w południe grało 28 niemieckich i 37 petlurowsko-chłopskich kulomiotów, basowała haubica hajdamacka, pękały ręczne granaty. Obserwując z wysokiego miejsca kolejowego plantu z proboszczem plac boju, widzimy, jak ława szara głów, pochylona nad błyszczącymi lasem bagnetów szybko dobija plantu i z ogłuszającym „hurra" wchodzi na relsy. Zatrzeszczały kulomioty i jak ścięty pokos padły pierwsze szeregi pokotem. Znów rozpaczliwe „hurra", lecz nie doszła ława ludzka wału, drgnęła i podała się nazad. Nie pomogły krzyki komendy, ni sygnały trąbki, ani razy nahaja, z tyłu chłopstwo napierających hajdamaków, przelękły motłoch z wyciem przerażenia poszedł w rozsypkę. Na nic

Szlachta drobna na Polesiu

Z pamiętników i notat ś. p. J. Gluzińskiego.

Ciąg dalszy

— Ej panie! rzekł Tomasz, tam Pan nie przejdzie po błotach, bo teraz trzeba się topić po pachy a nawet na trzęsawiskach zagrząść można: jak w posuchę a jeszcze w końcu lata to jakkolwiek dojdzie, lecz teraz trudno; ale ot, niech pan siądzie w czółno to ja ztąd dowiozę pana do Holenderni pod same ogrody: stąd będzie nie więcej jak wiorsta drogi rzeką to za kwandransik tam będziemy.

— Zgoda rzekłem, mój Tomaszu, tylko żebyście mię nie utopili, bo to widzę rzeką głęboka a ojca dzieciom byłoby szkoda.

— A szkoda panie bo panosko taki dobry, toć Bóg będzie łaskaw i da doczekać jak mnie, wnuków i prawnuków.

Popłynęliśmy więc pomiędzy bujne po brzegach oczerety i osoki a zdala za niemi, po prawej stronie od lasu, przerzniętego rzeką Uszą, rosły starożytne olchy. Na jednem takiem drzewie było ogromne drzewo na samym wierzchu.

— A to co za gniazdo? zapytałem Tomasza.

— A toć to tam panie już lat ze dwadzieścia co roku lęgną się aistry na tych wielkich drzewach, które przed lat 60 pamiętam, jak się tu sadowiłem, były tylko olszyną, ledwie dla budowników bobrów na słobody przydatną.

— A cóż to jest za ptak ten ajster!! bo ja go nieznam! znów zapytałem a on mówił:

— Wieleż to człowiek nie zna rzeczy, które Bóg stworzył: to panie jest zupełnie taki ptak jak bocian, tylko cały jak kruk czarny a pod brzuchem popielaty: nogi i dziób takież jak i u bociana, z niego jest wyborne mięso, zwłaszcza gdy jest młody a z pod brzucha i boków pierze tak dobre jak puch gęsi. Na ich podloty po błotach, bo w gniazdo nie godzi się strzelać, czasem polujemy dla księdza Ruszczyca, proboszcza w Nalibokach, który ich mięso lubi jadać. Ptak ten jest bardzo dziki i nie gnieździ się tylko w puszczach niedostępnych nad błotami. Ot! niech pan patrzy, to on! Jakoż na zakręcie płaszczyzny błot za oczeretami widziałem w naturze owego ptaka żerującego, który zaraz spostrzegłszy nas uleciał. Mój stary dalej mówił:

— Tam na prawo dalej gdzie Usza, płynie szersza i głębsza od rzeczki Kromańskiej, przy ciemnych po obu stronach lasach, są słobody bobrów, jak będziemy wracać, może pan zechce zobaczyć ale niechże pan do nich nie strzela, jeźli się spotkamy; bo my to mamy za grzech śmiertelny; to i pan (poglądając na moję dubeltówkę mówił) niechaj między nami nie grzeszy; wszak człowiek jednę ma duszę i trzeba ją zbawić.

W tem przybyliśmy czółnem do wzgórka między błotami, jakby do półwyspu ciągnących się pól od klucza Delatyckiego, na którym stało teraz kilka chat z ogrodami, na których osiedli z dawien dawna, szlachta drobna, a było też tam dwóch lub trzech włościan.

— Odczegóż to panie ojcze ta osada nazywa się Holendernia? zapytałem Tomasza, a on rzekł:

zdały się zabiegi komisarzy Balickiego i Koczury, nic nie zdołało już powstrzymać uciekających i zawrócić ich do ataku. W tej chwili rozlega się świst lokomotywy i z hukiem i łoskotem wpada na stację pociąg, wiozący oddział kawalerji hajdamackiej z Winnicy na pomoc chłopom. Zastukały niemieckie maszyny i celne ręczne salwy i ni jedne drzwi nie rozwarły się w wagonach, ni jeden człowiek z nich nie wyszedł żywy. 350 ludzi i kilkadziesiąt koni jeszcze dnia następnego (sobota 7. grudnia) tłukło się w wagonach w śmiertelnych drgawkach. Nie mogąc wziąć przemocą niemców, użyto podstępu. O 3-ciej po objedzie siła strzałów z niemieckiej strony słabnąć poczęła, a o 4-tej ostatni wystrzelili nabój i wywiesili białą płachtę. Tłum rozbroił bezbronnych, odważnych niemców i odartych, pobitych, w opieczętowanych wagonach wysłał do Wołoczysk, sam zajął się plądrowaniem ich obozu. Ciągnęły szeregi ładownych sań wszelkim wojskowym sprzętem pełnych, wracali objuczeni rabunkiem zwycięscy do wsi. Jakiś brodaty kacap prowadzi parę osiodłanych, pięknych karoszy. Zastępuje mu drogę inny, a gdy wydrzeć mu nie może zdobyczy, pada strzał, brodacz wali się na ziemię, napastnik uchodzi z rabunkiem.

Porażka niemców rzuciła na całe miasto postrach — znów obawiano się rzezi, lecz Opatrzność uchroniła nas od niej, chłopi zbyt byli zajęci bogatym łupem. W sobotę poszliśmy z księdzem Z. obejrzeć pole walki. Okropny przedstawiało ono widok. Pod płotem obok wieży ciśnień kolejowej leżał goły trup rotmistrza Hecke z przestrzeloną głową, przy nim jego pies „Bobeck“, zabity, obok chłop z rozszarpanemi wnętrznościami (przez psa, jak mi mówiono, broniącego swego pana). Dalej kilka chłopów z niemcami w śmiertelnym uścisku spleceni z sobą. Wyszłe z orbit oczy, rozwarte szeroko usta zsiniałe, twarze, szpetny przedstawiały widok. Na długim plancie kolei w okropnym nieładzie leżał wał trupów sinych, krwawych, zmiażdżonych. Ładowano ich na wozy i sanie i wywożono do ogólnych, zamiejskich dołów. Według danych grabarzy, pochowano 37 miemców, 850 chłopów, a w szpitalach u dr. Witolda Kuleszy pomieszczono 73 niemców i 370 hajdamaków i chłopów, prócz zabranych przez rodziny wprost z pola walki do domu rannych i zabitych chłopów.

Od tej chwili chłop nie czując żadnej nad sobą władzy, zmienił się w krwiożercze zwierzę. Łupił dwory, mieszkania, bogatych zabijał i rabował co mógł i gdzie tylko mógł. Codziennie gromady pijanych Żukowczan zjawiały się z żądaniami zwrotu odebranych od nich zrabowanych nam rzeczy i inwentarzy, z urojonemi nieraz pretensjami. Chłop Świstun groził mi uduszeniem, jeżeli mu nie dam konia, którego nie miałem; odstraszył go dopiero widok rewolwera mego. Przekonawszy się, że dopóki będę uzbrojonym, nie łatwo coś mi wydrą, postanowili mnie przy pomocy bomb rozbroić, o czem ostrzeżono mnie. Zaczęły się znów długie noce ustawicznego czuwania z bronią w ręku. W czasie świąt Bożego Narodzenia jakiś drab, przebrany za kolejowego tragarza, zjawił się o północy z walizą panów, którzy mają zaraz się zjawić z kolei. Gdy nie umiał mi się wytłumaczyć i był zbyt natarczywym — pokazałem mu przez lufcik lufę karabinu — zemknął i z nim razem dwóch nadeszłych jegomościów. W podobny sposób próbowano wcisnąć się niejednokrotnie do naszego domu. C. d. n.



— Bo to widzi pan dawnemi czasy, gdy książęta Radziwiłłowie rozkoszowali w zamku Nieświeskim, to też potrzeby dworu były wielkie. Jak pan widzi te czarnoziemy ogrodów, nad rzeką zasadzone kartoflami i kapustą, to w tem miejscu jeszcze ja zapamiętam stały ogromne obory, kształtnie zbudowane a w nich się mieściły holenderskie prześliczne krowy z buhajami, cielętami i jałownikiem, a krów było więcej jak sto: to zaś mi mój ojciec opowiadał, bo ja już tego bydła nie pamiętam, tylko resztki budowli. Ojciec mój stary wojak z bliznami od Szwedów, z którémi August II król Polski wojował, był dozorcą tego stada a matka ochmistrzynią do urządzania nabiału. Pasza i siano dostawiane tu były z Delatycz i do tego była z tamtąd posługa, aby dobrze bydło holenderskie było karmione i obrządzone. Opowiadali mi rodzice, że to taka była z krów obfitość nabiału, iż matka miała za punkt obowiązku oddawać do Nieświerza rocznie od jednej krowy po dwie faski masła i po dwie faski sera sześciogarcowe a jeszcze się jako nagroda za trudy dużo zostawało. Serwatką i maślanką za dodaniem osypki karmiono wieprze. Takich holenderni dla potrzeb zamku Nieświeskiego było trzy, to jest jedna pod Słuckiem, druga w Mierszczyźnie, a trzecia pod Kareliczami między Serweczą i Niemnem, czwarta zaś tutejsza. Zawsze te holendernie stawiano między rzekami, aby bydło miało zdrową wodę do napawania i do pławienia w lecie, bo to jak się bydło często pławi z wiosny i latem, to nie chwyta się jego zaraza; wybierano także okolice, aby miało dostatek siana dobrego: stawiano także holendernie między zacieniami lasów, aby uniknąć zarazy w czasie pomoru na bydło. Jeżeli pan widział po okolicach nadniemeńskich piękne bydło u obywateli i szlachty, toć to są pokolenia od stu lat, zabytki z owych holenderni, chociaż się to, jak ludzie mówią, już poczęściej powyradzało i z krajowem bydłem pokrzyżowało i nieco zdrobniało. Już to Bogiem a prawdą powiedziawszy, jak tradycja niesie, wielkie pany Radziwiłły zaopatrzyli krainy tutejsze w bydło i konie, które od nich przez szczodrotę i do szlachty przychodziły. Piękne siano na ogromnych nadniemeńskich obszarach sianożęci i na obszarach około rzeki Serweczy, było też po temu doskonałym karmem. Wszędzie naszych okolic konie wyglądają tłuste jak wałki, chociaż mało dostają ziarna, a to się dzieje dobrem sianem. Radziwiłłowskie stada koni po większej części żmudzkich z okolic Birżów i Nieświeża były bardzo liczne, to też i na potrzebę kawalerji wojsk książęcych było w czem wybrać. Kilka tysięcy szlachty na kilku tysiącach koni, we dwa tygodnie stanąć mogło, tak mi to mój rodzic opowiadał, więc było się o czem pysznić i wojować; bo rzędy na konie i zbroje dla siebie, każdy szlachcic w każdy czas musiał mięć w gotowości, a kto był o to niedbały lub się opóźniał, musiał liznąć kobierca, gdy go pańskie hajduki, batogami dobrze lizali. Książę Michał choć mówiono: był dobry pan i sprawiedliwy, ale tak był ostry, że nawet synowi nie przebaczył i nieraz ten na kobiercu w niebogłosy krzyczał: panie kochanku, ojcze hetmanie, panie kochanku! a to mu potem poszło w przysłowie, a miał drugie od ojca ad intende, bo mu ojciec dawał dobre upomnienia.

C. d n.

Notatki bibljograficzne

Marquis de Foudras. *Oeuvres cynégétiques.* Nazwisko Markiza de Foudras znane jest nietylko we Francji, ale w całym świecie, jako nazwisko słynnego autora dzieł literackich, opartych na fabule łowieckiej. Pierwsze wydania tych dzieł pojawiły się w Paryżu w latach 1840-1866. Pomimo powtórzenia nakładów stały się one jednak rzadkościami bibljograficznemi i znikły zupełnie z handlu. Obecnie przystąpiono do nowego wydania całej kolekcji, składającej się z 15 tomów.

Tytuły ich są: Les gentilhommes chasseurs (1 tom); Le père La Trompette (1 t.); Madame Hallali (1 t.); Diane et Vénus (2 t.); L'Abbé Tayot (2 t.); Le bonhomme Maurevert (1 t.); Un capitaine de Beauvoisis (2 t.); Les veillées de Saint Hubert (2 t.); Diane de Brého et L'Abbesse de Clefmont (1 t.); La vénérie contemporaine (2 t.). Cała ta bibljoteczka, wydana z wielkim gustem, na ładnym papierze, z ilustracjami, w małej ósemce, nakładem firmy księgarskiej E. Nourry (62 rue des Ecoles, Paris) kosztuje 270 fr. francuskich, t. j. przy dzisiejszym kursie franka około 10 dolarów. Cena więc stosunkowo przystępna, jeśli się tak można wyrazić w czasach, bynajmniej nie sprzyjających potrzebie zaspakajania wymogów duchowych. Niektóre tomy są sprzedawane osobno. Inne tylko w całym komplecie. *W. Z.*

Korespondencje

Gałęzów, w grudniu 1925

W dniach 9 i 10 grudnia 1925 odbyło się w Gałęzowie w pow. lubelskim u pp. Józefów Przewłockich polowanie na którem w 4 kotłach i 7 miotach ubito w 7 strzelb 356 zajęcy. Królem polowania był p. Stefan Kowerski junior, mając na rozkładzie 62 zające.

Świetny ten jak na stosunki w lubelskim wynik, który zawdzięczać należy zaledwie 3 letniej umiejętnej pracy gospodarza i jego uroczej małżonki nad podniesieniem zwierzostanu, zachęci niewątpliwie naszych pesymistów do starannej hodowli zwierzyny. *L. K.*

* * *

Dzików w grudniu 1925

W dniach 3 i 4 grudnia 1925 odbyło się polowanie w 10 strzelb u hr. Zdzisława Tarnowskiego w Dzikowie. Gospodarz i jego syn prowadzili polowanie nie strzelając. Pierwszego dnia polowaliśmy w głębokiej kniei rewirów Buda i Krawce. Padło: 1 jeleń, 5 dzików, 4 rogacze z rogami (do rogaczy bez rogów nie wolno było strzelać) 30 lisów, 8 zajęcy, 4 jastrzębie.

Drugiego dnia w 300 morgowym „Zwierzyniec“ leżącym wśród pól. Padło 268 zajęcy, 54 bażanty, 3 jastrzębie. *H.*

* * *

Lwów w grudniu 1925

W Trzcianie padło 111 zajęcy, w Zwieniczycy 156, w Staromieściu za 2 dni 551, w Boguchwale 45, w Zgłobniu w lesie zabito jarząbka.

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 10. stycznia 1926 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski, obecni wiceprezesi: A. Mniszek i A. Sander, członkowie Wydziału: Inż. Danek, Inż. Ebenberger, W. Garapich, T. Jędrzejowicz, St. Pieńczykowski, zastępca: Dr. Śnieszek, kooptowany starosta Ulm. — Nieobecność usprawiedliwili wiceprezes Czarkowski-Golejewski i Dr. Ziembicki.

W poczet członków przyjęci zostali: Paweł Duszyński w Siedliskach p. Rawa ruska, Kazimierz Goleń, Pniatyn pow. Przemyślany, Inż. Stanisław Goleń, Błotnia pow. Przemyślany, Stanisław Markiewicz we Lwowie, Józef Sękowski Pniatyn pow. Przemyślany, Wiktor Szczawiński, Zubrza pow. Lwów.

Załatwiono kilka spraw referatu łowieckiego i kilka spraw administracyjnych.

Z powodu podrożenia papieru i kosztów druku postanowiono podnieść kwartalną prenumeratę „Łowca“ dla niečłonków na kwotę 2·50 Zł. kwartalnie, począwszy od 1. kwietnia 1926, cenę zaś pojedyńczego numeru na 1 Zł.

Z Towarzystwa Dendrologicznego we Lwowie

Poniższe pismo Polskiego Towarzystwa Dendrol. we Lwowie, zamieszczamy w „Łowcu“, w uzasadnionem przypuszczeniu, że rzeczone Towarzystwo od członków naszych, między którymi jest wielu ziemian i właścicieli parków, otrzyma liczne, wyczerpujące odpowiedzi na swą ankietę.

Do Szanownego Małopolskiego Tow. Łowieckiego we Lwowie ul. Ossolińsk,ch 11, III p.

Pragnąc zebrać informacje o stanie parków i ogrodów dworskich w Polsce, mamy zaszczyt zwrócić się z uprzejmą prośbą do Szan. Towarzystwa o łaskawe wystosowanie odezwy do swoich P. T. Członków o nadesłanie w tym kierunku potrzebnych wiadomości do Szan. Towarzystwa względnie wprost „Polskie Tow. Dendrologiczne“ we Lwowie, ul. Marka 1.

Nie podajemy specjalnego kwestjonarjusza, pozostawiając pod tym względem swobodę Szan. Informatorom. Z ważniejszych wiadomości, jakiebyśmy jednak pragnęli uzyskać, toby były: a) Nazwisko obecnego właściciela parku; b) dokładny adres; c) obszar parku; d) kiedy założony; e) czy w parku znajdują się stare okazy drzew krajowych n. p. dębów, lip, jesionów, klonów i t. p.; f) jakie są piękniejsze okazy drzew i krzewów obcych; g) czy park ma charakter naturalny czy sztuczny, zdo-

bniczy; h) czy parkowi nie grozi zniszczenie np. skutkiem parcelacji i t, p.

Uzyskanie podobnych informacji orjentacyjnych o parkach polskich ułatwi nam naprawdę pracę, jakiej zamierzamy się podjąć: w kierunku przeprowadzenia dokładnej inwentaryzacji parków w Polsce, ich opisania i porobienia starań nad zabezpieczeniem parków przed ewentualnem zniszczeniem.

Licząc z góry na łaskawą pomoc Szanownego Towarzystwa i zadość uczynienia naszej prośbie, zostajemy z wysokiem poważaniem

Polskie Towarzystwo Dendrologiczne we Lwowie

Piątkowski m. p. *Dr. S. Wierdak* m. p.

preoes sekretarz



Przypomnienie

Wszystkich naszych P. T. Członków i Czytelników „Łowca“ prosimy usilnie, aby Ci z nich, którzy dotychczas nie nadesłali wypełnionogo kwestjonarjusza w sprawie rozmieszczenia zwierząt (załączonego do grudniowego numeru), zechcieli uczynić to jaknajrychlej. Prosimy zważyć, że na materjale w ten sposób uzyskanym, ma być oparta zasadnicza praca naukowa, pierwsza w swoim rodzaju na ziemiach naszych. Każdy, choćby pozornie banalny i drobny szczegół może być pożyteczny. Niech więc nikt się nie ociąga i nadeszle swą cząstkę.

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli:

Aleksander Parko 6 zł: inż. Zdzisław Szybalski z polowania na Jarynie 14 zł; Edward Pauli, zebrane za pudła na polowaniu w Turce k. Kołomyi 5·40 zł; Dr. Stanisław Sozański, zebrane na polowaniu w Nieczajnie 9 zł; Stanisław Kowalski, zebrane na polowaniu w Żelazówce 13 zł; M. Wolański, — strzałowe z polowania w Prybeniu 8·70 zł; Kazimierz Ansion, zebrane za pudła na polowaniu w Zalesiu 5·10 zł; inż. Kazimierz Sołtyński — Krosno 6 zł; strzałowe zebrane pierwszego dnia polowania w Batiatyczach na wniosek Dalegata Władysława Langa 29 zł i 1 dolar; Polskie Towarzystwo Łowieckie w Złoczowie 2 zł; Adam Kwaśniewski 3 zł; na ręce del. stryj. P. St. Orskiego złożono zebrane na polowaniu u hr. K. Dzieduszyckiego w Izydorówce 76 zł; zebrane na polowaniu w Ostapiu i w Oknie 94·60 zł.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.